

To była zima... Zima stulecia! Rajstopy zamiast kalesonów, autobusy w zaspach

data aktualizacji: 2020.12.25



Czterdzieści dwa lata temu na Ursynowie większość mieszkańców szykowała się właśnie do pierwszej imprezy sylwestrowej w swoim nowym mieszkaniu. Nikt nie spodziewał się tego, co miało nastąpić za kilka godzin - mrozu, śniegu po pas, braku prądu, wody i gazu. Oto trzy opowieści z tamtej pamiętnej zimy!

Okrągła rocznica, która przypada w tym roku w związku z zimą stulecia (przełom 1978 i 1979 roku), skłoniła nasze czytelniczki do wspomnień z tych szczególnych dni. Tym bardziej szczególnych, że dla większości z nich była to pierwsza zima na Ursynowie. Wszystko zaczęło się niewinnie, kiedy rodziny spokojnie szykowały się do powitania Nowego Roku.

W śniegu po pas... na imprezę!

Basia, Jarek i mały Filip wprowadzili się latem 1978 r. do swojego M3 na Wiolinowej. Młode małżeństwo planowało spędzić sylwestra u znajomych nad Doliną Służewiecką. Po południu mieli pomóc gospodarzom w przygotowaniach, później zostawić syna u dziadków i wieczorem ruszyć na prywatkę.

- Po południu padał śnieg, ale nie było tragedii. Kiedy wracaliśmy na chwilę na Ursynów okazało się, że Wałbrzyską nie chodzą już autobusy. Wtedy zaczęła się zima - opowiada Basia. - Mężowi wąsy przymarły do ust, a trzyletni synek niesiony przez niego na barana, zaczął płakać, że nie czuje nóżek

- wspomina.

Rodzina, chcąc wrócić jak najszybciej na Ursynów, udała się na postój taksówek. - *Było ich jak na lekarstwo, a ludzi cały tłum. Nas, jako rodzinę z dzieckiem, przepuszczono na początek kolejki - wspomina Basia i dodaje, że do „swojej” taksówki zabrała ich pani, która jechała kupić kwiatka na kwiaciarni na Puławskiej.*

Kierowca dojechał do wiaduktu przy wjeździe na Ursynów i powiedział, że dalej nie zaryzykuje jazdy. Rodzina brnąc w coraz większym śniegu dotarła na swoje osiedle. Syn został z dziadkami, a młode małżeństwo postanowiło nie rezygnować z sylwestrowej zabawy i udało się w drogę powrotną na Służew.

- *Śnieg był już miejscami po pas. Nikt nie odśnieżał, a cały czas padało. Doszliśmy do wysokości obecnego Megasamu. Tu był raj! Ludzie się zatrzymywali, solidarność nieprzytomna. Nie było samochodu, który by kogoś nie zabrał - opowiada Basia.*

Okazało się, że na imprezę nikt nie dotarł. Dopiero później ludzie zaczęli się schodzić. Wszyscy siedzieli w kozuchach. - *Trójka rodzeństwa męża przyszła torami tramwajowymi z centrum - doszli do nas po północy - mówi mieszkanka Wiolinowej.*

Tej nocy wszyscy siedzieli w paltach, pili duże ilości rozgrzewających trunków i nocowali u gospodarzy. - *W Nowy Rok wracaliśmy do domu ok. 6 rano. Była przepiękna pogoda, wyszło słońce i przyszliśmy na piechotę - mówi Basia.*

Wspomina jeszcze, że przez kolejne dni z dziećmi nie jeździło się do przedszkola, bo nie było jak. Lekarze dawali rodzicom zwolnienia, bo praktycznie nie jeździły autobusy. - *Ale ludzie bardzo sobie pomagali, na ulicach Ursynowa nie było samochodów, które jechałyby z jedną osobą. To było takie podtrzymujące na duchu, że nie zostaliśmy tu zasypani i odcięci od świata - dodaje.*



Po jabłka w rajstopach

W tym samym czasie w innym bloku na Wiolinowej do przyjęcia sylwestrowego powoli szykowali się Ania i Janek. Mieszkali od wiosny w swoim wspólnym mieszkaniu i postanowili zaprosić znajomych. Ale wcześniej mieli jeszcze coś do załatwienia.

- Po Bożym Narodzeniu zrobiło się ciepło, tuż przed sylwestrem Janek z moim tatą pojechali na wieś po jabłka - mówi Ania. - Kiedy rano wstaliśmy było zero stopni, kiedy Janek dojechał z Ursynowa na Ochotę, już było minus 7 stopni - opowiada.

Teściowa, kiedy zobaczyła Janka, zapytała czy ma na sobie kalesony, a gdy okazało się, że nie... - *Wcisnęła go w swoje nylonowe rajstopy, które - jak mąż wspomina do dziś - poobcierały mu nogi do krwi - mówi Ania.*

Kiedy Janek z teściem dojechali na wieś na termometrach było już koło minus 15 stopni. Jabłka przemarzły w bagażniku i poobijały się w worach, które zaliczyły kilka poważnych upadków na śliskiej drodze do samochodu. Zdążyły jednak dojechać na sylwestra, podobnie jak nieliczni goście.

- Przyjaciółka z Żoliborza wcześniej wyjechała z domu maluchem i jakoś dojechała. Siedzieliśmy i czekaliśmy na resztę - opowiada Ania.

Po jakimś czasie dobrnął kolega jadący autobusem ze Stegien, który opowiadał, że wszyscy pasażerowie wyskakiwali i wyciągali autobus z kolejnych zasp. Dotarł też kolega z Ursynowa - cały w śniegu, wyglądał jak bałwan, był w stroju narciarskim, a pod spodem miał marynarkę.

Rzecz, która utkwiała Ani w pamięci to jajka w majonezie. Impreza miała być składkowa, a ponieważ dotarła tylko część osób, to był nieduży wybór w dużych ilościach. Jajek był naprawdę dużo! Ania pamięta jeszcze, że węgiel nie dojechał wtedy do Warszawy i w mieszkaniach było chłodno. - *Ludzie się dogrzewali gazem i grzejnikami. Daliśmy radę!* - kończy swoją opowieść.



Mały stok przy Surowieckiego od strony Końskiego Jaru. fot. Włodzimierz Witaszewski/ursynow.org.pl

Do porodu autobusem

Receptę na chłód do perfekcji dopracowali Józefa - będąca tej zimy w siódmym miesiącu ciąży - i jej mąż Wojtek, którzy wraz z dwoma synami, psem i kotem spali wspólnie na jednym materacu w swoim mieszkaniu na Puszczyka.

- *Drzwi balkonowe były tak nieszczelne, że do środka przez szparę wpadał śnieg - opowiada Józefa. - Dogrzewaliśmy się wtedy kuchenką gazową i grzejnikiem. Wiem - niezbyt rozsądnie - ale ciepło. Spaliśmy wszyscy razem w najmniejszym pokoju (ośmiometrowym), żeby było cieplej - wspomina.*

Dużym wyzwaniem dla Józefy było wykarmienie dwu- i czteroletka oraz siebie i męża, kiedy zabrakło gazu i wody. - *Chodziłam wtedy do przyjaciół na Sonaty, gotowałam u nich i wracałam z garnkami z jedzeniem. Gorzej było z myciem, można by było stopić śnieg, ale nie było jak - mówi.*

Józefa i Wojtek, także pamiętają tego wyjątkowego sylwestra. Oni też nie spodziewali się, że wracając od przyjaciół z Dolinki Służewieckiej nie dadzą rady pociągnąć sanek z synami, bo śnieg był już do kolan. - *Starszy syn postanowił wtedy sprawdzić czy rzeczywiście język przymarznie mu do zimnej klamki. Przymarzał. Na szczęście skończyło się na małej rance - opowiada Józefa.*

Józefa miała wyznaczony termin porodu na luty. Pierwszy „alarm” był 15 lutego, kiedy korzystając z uprzejmości sąsiada - pana Marka - została zawieziona w nocy do szpitala na Madalińskiego. - *Pan Marek otworzył Wojtkowi drzwi zupełnie zaspany i podał mu dwie puste butelki po mleku, bo myślał, że to mleczarz - wspomina Józefa.*

Drugi, tym razem ostatni alarm, nastąpił kilka dni później. Józefa i Wojtek nie chcąc kłopotać po raz

kolejny sąsiada ruszyli do szpitala autobusem 502. - *Nie było miejsc siedzących, więc trzymałam się mocno uchwytu i prawidłowo oddychałam* - śmieje się Józefa.

Para szczęśliwie złapała później taksówkę i mały Jonasz przyszedł na świat w szpitalu, a nie w autobusie.

- *Czuliśmy się trochę jak pionierzy na Dzikim Zachodzie* - puentuje Józefa.

I trudno się z nią nie zgodzić. Pierwsi mieszkańcy Ursynowa nie mieli łatwo, ale za to jakie mają teraz wspomnienia!

Źródło:

<https://haloursynow.pl/artykuly/to-byla-zima-zima-stulecia-rajstopy-zamiast-kalesonow-autobusy-w-zaspach,11178.htm>